



Zofia Kwiecińska

SAMOTNA MOGIŁKA

Za polem, pod samym niemal brzoźowym laskiem była samotna mogiłka. Ot, taki zwyczajny kopczyk usypanej gliny, na nim z dwóch brzoźowych gałęzi krzyż z przybitą deszczułką. Na tej deszczułce było wypisane chemicznym ołówkiem czyjeś nazwisko i imię, ale deszcze i niepogody zmyły napis i teraz tylko fioletowe smugi i plamy widniały na poczerniałym drzewie. Nikt nie wiedział, kto tu był pochowany.

Mało to grobów nowych nikomu nie znanych przybyło przez lata wojny? I na cmentarzu wyrosły szeregiem jak wojsko, i zaraz za wsią wznosiły się olbrzymie wspólne mogiły, tych, których Niemcy rozstrzelali zaraz jakoś na początku wojny. I na tych cmentarnych i na tych wspólnych grobach często ktoś kładł kwiaty a nawet czasem wieńce, często ktoś z rodziny albo tylko znajomy zatrzymywał się tu i chwast, co się rozrastał bujnie, wyrwał. Samotnej mogiłki nie odwiedzał nikt. Na uboczu była, nie po drodze. Krewnych nie było a obcy zapomnieli.

Wojtek z Anką upodobałi sobie to miejsce na pograniczu pola i lasu. Tu można się było wygrzewać na słońcu dowoli, a gdy już za gorąco było — ochłonić w brzoźowym cieniu. Tu rosła najpiękniejsza dzika koniczyna, biało-różowa i pachnąca, drobnutka, purpurowa centuria i skabiozy takie wielkie i puszyste. Wojtek parę razy próbował odczytać napis na krzyżu, mył nawet deszczułkę wodą i skrobał kozikiem, ale jeszcze bardziej zatarł ślady liter. Wreszcie znudził się i przestał myśleć o tym. Ale Anka myślała, odgadywała, kto też tu może leżeć, stary ktoś czy młody, żołnierz czy dziecko, swój ktoś czy obcy.

Raz, gdy przyszłi swoim zwyczajem na łączkę, zastali przy mogiłce starą Ignasiakową, tę, co to latem, gdy była pilna robota w polu, dzieci ludzioru po chałupach pilnowała, a w zimie tak od chaty do chaty włóczyła się. Nigdzie długo miejsca nie zagrzała choć wszędzie ją zapraszali i zatrzymywali.

— Nie chcę się ludzioru za bardzo naprzykrzać — mówiła. — Po siedzialem u was a teraz pójdę dalej. Bóg zapłać za gościncę.

Wszystkie dzieci we wsi znała po imieniu, a do starszych też mówiła jak do dzieci, bo przecież

wszystkich tu od małości pamiętała.

Anka zastała Ignasiakową, gdy odrzucała z grobu suche badyle i przewieszała przez ramiona krzyżyka delikatne i wiotkie powoje polne.

— Babciu, to ktoś wasz tu leży?

— A mój.

Anka się zastanowiła. Nikt nigdy nie słyszał, by Ignasiakowa miała krewnych. Była „babcią“ całej wsi i do wszystkich odnosiła się jak do wnucząt, ale swoich własnych nie miała nigdy. Naddiegił i Wojtek.

Witkowskich otoczyli. Wszyscy się wtedy pochowali, kto do lasu uciekł, kto do piwnicy wlaźł. A ja myślę sobie — gdzież mnie uciekać i tak już stara jestem, dosyć żyłam, co ma być to będzie. Siadłam sobie na ławce przed domem i patrzę, a tu wyskakuje ktoś z okna i prosto do tego brzoźowego lasu ucieka. Ale nie zdążył. Jak zaczęli za nim prążyć!... Ot tu upadł. Witkowskiego wtedy ze sobą zabrali. Idę ja wieczorem pod las i myślę: zabili go też, czy tylko ranili i skrył się gdzieś. Księżyc świecił jasno, że

wet Anka, co przedtem często myślała o nieznanym żołnierzu, co nikt nie wie, skąd przyszedł do ich wsi o Polskę walczyć i tu zginął, nawet Anka zapomniała o samotnej mogiłce.

Przyszły Zadzuski. Matka przyniosła z miasta świec całą paczkę i długo oglądała doniczki z białymi puszystymi chryzantemami.

Potem razem z Anką i Wojtkiem zaniósłi to wszystko na cmentarz. Późno już było i na wszystkich grobach paliły się świeczki, a najwięcej na tych, w których leżeli polegli. Długo chodzili od grobu do grobu, potem poszli do tych wspólnych, których teraz widać nawet nie było, tyle na nich wieńców leżało. Gdy już mieli wracać do domu, Anka nagle zamyśliła się.

— Mamo, a jeszcze do tego pod lasem pójdziemy.

Matka popatrzyła zdziwiona. Nie wiedziała o niczym, więc jej musieli powtórzyć opowiadanie Ignasiakowej.

— Czemuście wcześniej nie powiedzieli? — ofuknęła ich — Jakżeż można o takiej rzeczy zapomnieć.

Nim doszli do wsi już matka opowiedziała historię nieznannej mogiłki i Szymczakom, i Stasińskim, i staremu Królowi.

Kiwali głowami.

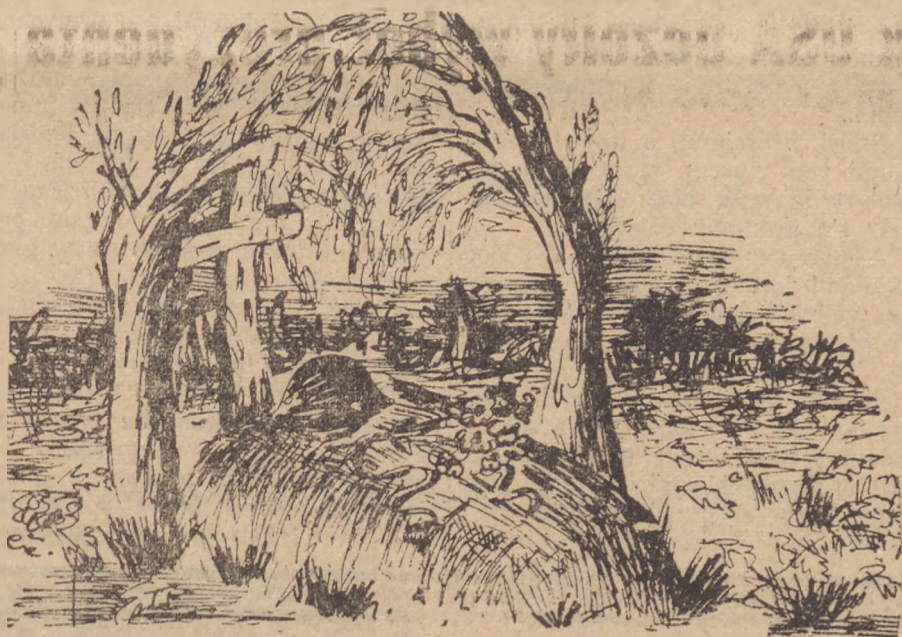
— Cóż ta Ignasiakowa nikomu nie powiedziała? Musowo iść. Cóż z tego, że nie wiemy kto. Mało to naszych wsiowych po świecie gdzieś się zagubiło? Mało to naszych grobów, gdzieś może w obcych krajach chwastem zarasta? Musowo iść.

A Wojtysiak, co u kamieniarza dawniej pracował, powiedział:

— Teraz jesienią czasu więcej, to ja jakiś pomnik wykuję, tylko skądby tu kamienia wziąć...

A gdy przyszłi pod las, na grobie paliły się dwie cieniutkie świeczki (bo Ignasiakowa pieniędzy mało miała) i leżał wielki z sosnowych gałęzi wieńiec. Każdy dorzucił to wiązkę kwiatów, czy lampkę zapalił, a Wojtysiak, że to miał takie przyzwyczajenie rozmawiać nawet z martwymi przedmiotami, powiedział:

— Żebyś sobie nie myślał, że tylko jedna Ignasiakowa o tobie pamięta. Za naszą sprawę biłeś się i za naszą sprawę cię tu zabili — skądbyś nie przyszedł, nasz już jesteś i my o ciebie dbać będziemy.



— A kto to taki, babciu? Jak się nazywał? Chyba nie z naszej wsi?

Ignasiakowa popatrzyła na niego, starczymi, siecią czerwonych żyłek nabiegłymi oczyma i nie odpowiedziała. Dopiero gdy skończyła robotę, usiadła na trawie obok i zaczęła mówić, jakby do siebie.

— A czy nie wszystko jedno jak się nazywał? Czy nie wszystko jedno skąd przyszedł? Mój, bo w mojej wiosce zginął. Mój, bo chyba za naszą wieś bił się, skoro go tu Niemcy zabili. Sama widziałam. To była jesień już. Ja spałam wtedy u Wawrzyniaków, a on naprzeciw w tej chałupie, co to się potem spaliła, co w niej Witkowsky mieszkali. Z Witkowskich też nikt nie został. Więc on był tam. Aleśmy nie wiedzieli o tym wcale. Aż tu, tak pod wieczór już było, przyjeżdżają do wsi Niemcy. Czy im kto powiedział, czy co — od razu chałupę

widno było jak w dzień. Przychodzę, patrzę — już się nie rusza. A młody był taki. Matka gdzieś tam na niego czeka i frasuje się i po nocach nie śpi i ciągle myśli, gdzie też jej chłopak, czy ma co jeść, czy ma się w co odziać, a on tu już leży martwy i nawet pogrzebać go nie ma komu. Przyniosłam łopatę, do rana kopałam i tu go pochowałam. I tak teraz przychodzę, bo któż biedaka odwiedzi, kto o nim pamiętać będzie, jeżeli nikt nawet nie wie, że on tu leży. Tabliczkę napisałam, ale tak tylko, bez nazwiska...

Minęło lato i dzieci przestały biegać na łąkę. Trzeba było chodzić do szkoły, odrabiać lekcje, a i w gospodarstwie, że to jesienią więcej roboty, trzeba było pomagać. Potem zaczęły się sloty, że nosa z domu wysadzić nie można było. I na-



scy ojców mają, matki mają, a on jeden sierota, on jeden tylko, on den...

— Jezu mój, Jezu!... — chlpał i zanosił się jako ten ptaszek duszony w sidłach, dopiero Kuba go odnalazł i zawołał:

— Witek, dałeś już na wypominki?

— Nie — odrzekł — porwał się z nagłą, wytarł oczy i z mocą jął iść do stołu... tak, i on poda imiona... co ta mają wiedzieć, że nie ma nikogo... po co... sierota, to la siebie... a znajda, to znajda... Zadzierzysto powiódł oczami i pewnym głosem podał imiona: Józefy, Maryanny i Antoniego, te co mu pierwsze przyszły na pamięć...

Zapłacił, wziął resztę i poszedł z Kubą na kościół pomodlić się i wysłuchać jak ksiądz wypomni jego dusze...

Dzień już przywierał szare, zmęczone powieki, gasnął i zapadał zwolna w przerażające, smutne topiele mroków, wiatr się poruszył i przeciągał po polach z jękiem, tłukł się między drzewinami, a wionął surowym, przegniłym tchem jesieni.

Cicho było, tą dziwnie posępną cichością Zadzuszek; tłumy szły drogą w surowym milczeniu, ino tupot nóg się rozlegał głucho, ino te drzewa przydrożne chwiały się niespokojnie i cichy, a bolesny szum gałęzi drżał nad głowami, ino te grania i śpiewy prośalne dziadów lkały w powietrzu i opadały bez echa...

Przed wrótniami, a nawet wśród mogił pod murem, stały rzędy beczech-solówek, a obok nich rozkładały się gromady dziadów.

A naród płynął całą drogą pod topolami ku cmentarzowi, w mroku, co był już przytrząśnięty świat jakby popiołem szarym, błyskały światła świeczek, jakie mieli niektórzy, i chwiały się żółte płomyki lampek maślanych, a każdy, nim wszedł na cmentarz, wyciągał z tobołka chleb, to ser, to zdiebko słoniny albo kiełbasy, to motek przędzy lub tę przygarsć lnu wyczesanego, to grzy-

bów wianek i składali to wszystko pobożnie w beczki — a były one księżę, były organistowe, a reszta dziadowskie, a któren w nie nie kładł, to grosz jaki wciskał w wyciągnięte ręce dziadowskie... i szepotał imiona zmarłych, za które prosił on pacierz...

Chór modłów, śpiewów, imion wypominanych, jęklwym rytmem wznosił się wciąż nad wrótniami, a ludzie przechodzili — szli dalej, rozpraszali się wśród mogił, że wnet, niby robaczki świętojańskie, jęły jaśnieć i migotać światełka wskroś mroków i gąszczów drzew i traw zeschniętych.

Głuchy, przyciszony trwożnie szepet pacierzy drgał w przyziemnej ciszy, czasem szloch bolesny zerwał się z mogił; czasem lament żalony wił się w rozdzierających skrętach wśród krzyżów; to jakiś nagły, krótki nabrzmiały rozpaczą krzyk, jak piorun rozdzierał powietrze, albo ciche płacze dziecięce — sieroce płacze kwiliły w omroczonej gąszczach niby piskłeta.

A chwilami opadało na cmentarz głucho i ciężkie milczenie, że ino drzewa szumiały posępnie, a echa płakań ludzkich, skarg, krzyków bolesnych, żalości, biły ku niebu, w świat cały szły...

Ludzie snuli się wśród mogił cicho, szepotali lekliwie i trwożliwie poglądali w dal omroczoną, niezgłębioną...

— Każdy umiera! — wzdychali ciężko i wlekli się dalej, przysiadali przy grobach ojców, mówili pacierze, to siedzieli cisi, zadumani, głusi na życie, głusi na śmierć, głusi na ból — jak te drzewa.

Kuba z Witkiem chodzili razem z drugimi, a gdy już do cna pociemniało, Kuba powlókł się w głąb na stary cmentarz.

A tam na zapadniętych grobach cicho było, pusto i mroczno — tam leżeli zapomniani, o których pamięć umarła dawno — jako i te dnie ich i czasy, i wszystko; tam jeno ptaki jakieś krzyczały złowrogo i smutnie szeleściła gęstwa, a gdzie niedziedzie sterczał krzyż spróchniały — tam leżały pokotem rody ca-

le, wsie całe, pokolenia całe — tam się już nikt nie modlił, nie płakał, lampek nie palił... wiatr jeno huczał w gałęziach, a rwał liście ostatnie i rzucał je w noc na zatracenie ostatnie...

— Patrzcie no, a tam się świeci i ludzie jakieś są — zawołał Witek ze strachem, wskazując na szereg mogił pod samym płotem...

— To leżą ci, co ich w boru pobili... juści... i moje pany tam leżą... i matka moja... juści...

Przedarli się przez gąszcz i przykłęknęli u mogił zapadłych i tak rozwianych, że ledwie ślad ino został; ani krzyże ich znaczyły, ni drzewa jakie ocieniały, nic, jeno ten piach szczerzy, parę zeschniętych badyli dziewanny i cisza, zapomnienie, śmierć...

Jambroży z Jagustynką i Kłęb stary kłęczeli przy tych grobach umarłych; dwie lampki tliły się wciśnięte w piasek, wiatr zawiewał i kołysał światłami, i rwał słowa pacierzy i niósł je w noc czarną...

— Juści, matula moja tam leżą... baczę... — szepotał Kuba cicho więcem do siebie niżli do Witka, któren przykucnął przy nim, bo ziaęb go przejmował na wskroś...

Noc była coraz głębsza, wiatr mocniej targał drzewami, że długie warkocze brzoź zamiatały po mogiłach, a białe ich pnie, niby w zgła śmiertelne przyodziane, majaczyły w mrokach... Ludzie się rozchodzili... światła gasły... śpiewy dziadów umilkły... milczenie uroczyście, a pełne dziwnych szelestów i głosów przejmujących zapanowało wśród mogił...

Wieś była cicha mimo święta, drogi były puste, karczma zamknięta, a gdzieniegdzie tylko, przez małe zapocone szybki błyskały światełka i płynęły ciche śpiewy pobożnych, i głośnie modlitwy odmawiane za zmarłych...

Z trwożą wysuwano się przed domy, z trwożą nasłuchiowano szumów drzew, z trwożą patrzano w okna — czy nie stoją, nie jawią się ci, co w dniu tym błądzą przygnani tęsknotą i wolą Bożą... czy nie jęczą pokutniczo na rozstajach... czy nie zaglądają przez szyby żalownie...

A gdzieniegdzie, starym zwyczajem świętym, gospodynie wystawiały na przyżby resztki wieczerzy, zęgnęły się pobożnie i szepotały...

— Naści, pożyw się duszo krześcijańska w czyściu ostająca...

Wśród ciszy, smętku, rozpamiętywań, lęku płynął ten wieczór Zadzuszek...

Kuba i Witek weszli na cmentarz i jęli się przepychać przez gęsty tłum, co był zaległ dokoła kościoła, że to we środku pomieścić się nie mogli.

Dziady uczyniły ulicę z głównych drzwi, aż hen na drogę, a każdego na swój sposób się wydierał, a krzyczał, a modlił się w głos i dopraszał wspomnienia, a jak niektórzy, to i na skrzypkach pogrywali i pieśni wyciągali jęklwym głosami, a drugie na piszczałkach albo i harmonikach, że wrzask się rozlegał, aż w uszach wierciło...

W zakrystii też było narodu gęsto, aż zebra trzeszczały przy stole, gdzie organista przyjmował na wypominki, a przy drugim, syn jego, Jaś, co to był w szkołach.

Kuba docisnął się przódzi i niemając litanię imion podał organście, któren zapisywał i brał za każdą duszę po sześć groszy, albo i po trzy jajka, jeśli kto nie, miał gotowych pieniędzy.

Witek ostał nieco w tyle, że go to po bosych nogach srodze deptali, ale się pchał, jak mógł, choć ta i niejeden burknął, że to się pod łokcie ciśnie, a starszym zastapia, i pieniądze w garści ścisnął — dopiero, kiej go dopchnęli do stołu, wprost organisty, zapomniał języka w gębie... Jakże, gospodarze sami, a gospodynie ino, cała wieś prawie, bo i młynarzowa w kapeluszu kiej dziedziczka, i kowalowie, i wójt ze swoją... a wszyscy patrzą na niego... to nasłuchują... przypominają sobie w głos dusze różne... i po dziesięć... i po dwadzieścia imion podają... za całą rodzinę, za ojców, dziadów i pradziadów... a on co? Wie to, kto jego mać? Kto ojciec? Wie?... Ma to dać za kogo?... Jezu mój! Jezusie... to ino gębę szeroko otworzył i te oczy modre i stał nieruchawy, jako ten głupi... i serce mu się skurczyło z bólenia, że ledwo zipał, ledwie mógł złapać tego dechu... i tak mu się cknęło zrobiło w dołku, jakby już miał ostatnią parę puścić... ale nie dostojał tak, bo go odepchnęli w kąt, pod kropielnicę, to się ino wsparł głowiną o oną misę cynową, żeby nie paść, a lży to mu jak te paciorki snuły się z oczów... jak te różańce żalodne... i próżno je chciał powstrzymać... daremnie... i tak się trzął w sobie, tak dygotał każdą kosteczką, że ani zębów zewrzeć nie mógł, ani ustoić prosto; przysiadł w kącie, od oczów ludzkich, i płakał rzewnymi, sierocymi łzami...

— Matulu! matulu! — skamlało w nim cosik i oździerało w nim duszę do dna. A pomiarkować nie mógł, ni rozeznąć, czemu to wszy-

M. Konopnicka

W Dzień Zaduszny

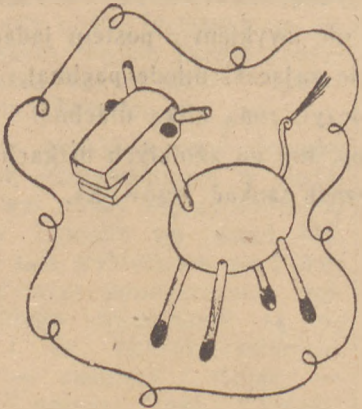
O, proście Boga nie o te mogiły,
Co je bluszcz stroi, a kwiecie oplata,
Lecz co by synom i wnukom się śniły
Przez długie lata.

Proście wy Boga o takie mogiły,
Które lez nie chcą, ni skarg, ni żalości,
Lecz dają sercom moc czynu, zdrój siły
I żar miłości.

Niechaj o grobach waszych mówią starce,
Chromą na kuli opierając nogę,
I niech to chłopię, co gra na fujarce,
Wie do nich drogę.

Zabawki z kasztanów

Niedziela jest zawsze wielkim świętem w domu. Przede wszystkim można się wyspać dłużej, po drugie czasami tatuś zabiera z sobą do kina albo za miasto — ale najważniejsze jest to, że w niedzielę Staszek nie idzie do fabryki. A z nikim tak dobrze nie można się bawić jak ze Staszkiem. Chociaż jest już dorosły, goli się i chodzi do pracy. Staszek zawsze potrafi coś wymyślić, chociażby



Kasztanowy konik

deszcz lał jak z cebra i nosa z domu nie można było wysadzić.

Od samego rana jest już wesoło. I tej niedzieli też tak było. Staszek zbudził się, przeciągnął aż kości zatrzeszczały i od razu do dzieci:

— Cóż tam leniuchy? Jeszcze śpicie? A wstawać mi tu zaraz!

Gdyby to kto inny powiedział, to naturalnie nie chciałoby się wstawać, ale na rozkaz Staszka zerwali się od razu.

— A co będziemy robili?

— Zobaczymy, może coś przyjdzie nam do głowy.

A gdy już ubrali się i zjedli śniadanie Staszek zaproponował:

— Wiecie co? Zabawimy się w wyścigi konne. Dawajcie tu swoje zabawki.

Ale okazało się, że w całym skarbcu dzieci były tylko dwa konie i to jeden bez nóg.

Jakież to będą wyścigi? Nie, Staszku, lepiej w co innego. Może w kolej?

Ale Staszek się uparł.

— Nie w kolej, tylko w wyścigi. Muszą być konie i już. Cóż wy nie dołęgą, konia sobie nawet zrobić nie umiecie? Idźno Wacek na podwórze przynieś kasztanów.

Za Wackiem pobiegł Stefek i Hanka i nawet małeńka Basia. Nie upłynęło pół godziny a już przynieśli do małego pokoiku na poddaszu cały koszyk ślicznych błyszczących kasztanów.

— No, to trzeba zabrać się do roboty — powiedział Staszek i wyjął z kieszeni składany nożyk. Ostrożnie zdjął z jednego kasztana skorupkę i wyjął miąższ, wyciął z niego małą cegiełkę a na jednej ze ścianek wyciął szparkę.

— Co to będzie? — dopytywał się Stefan. — To przecież nie koń.

— Czekaj, nic nie rozumiesz — i Staszek w dwie ścianki cegiełki wbił kawałeczki zapalek, tak, że tylko główki były widoczne.

— Oj, to przecież oczy — krzyknęła Hanka.

— Tak, a teraz zrobimy uszy — i w miejscu, gdzie powinny być uszy, wbił znowu dwa kawałeczki zapalek. Teraz już widać było wyraźnie, że to jest głowa. Staszek nadział ją na zapalekę, której drugi koniec wybił w ciemny błyszczący kasztan. Nogi już dorobił Wacek z zapalek. Koń był piękny ale...

— Cóż to za koń bez ogona — mruknął Stefan.

— Poczekaj, zrobimy i ogon.

Ale z czego? Próbowali z zapalek, ale było nie ładnie, ze sznurka też nie. Wreszcie Hanka wpadła na pomysł i do końca drucika przywiązała pęczek włosów. Wprawdzie koń teraz był podobny raczej do ciela-

ka lub osiołka, ale zawsze już ogon miał.

Tak się do tego zapalili, że majstrowali konia za koniem. Nie było już ich gdzie stawiać. Całe pudełko zapalek zepsuli, a kasztanów jeszcze pełno było w koszyku.

— Mamy konie, ale nie mamy jeźdźców — powiedział nagle Staszek. — Trzeba będzie wymyślić i kasztanowego człowieczka też. No kto zrobi najładniejszego?

Jak konkurs, to konkurs. Teraz każdy majstrował po swojemu. Ale tu nasunęły się trudności. Człowieczek nie chciał stać, przewracał się na swoich cienkich zapalczanych



Człowieczek z kasztana

nogach. Co innego koń — koń ma cztery nogi, ale jak tu postawić człowieczka?

Anna Orłowska

Kasztanki

Jest nas na ziemi tysiące, brązowe, krągłe, błyszczące kasztanki.

Gdy słońce jesienne świeci, przychodzą do parku dzieci, zbierają maleńkie, krągłe, błyszczące kasztanki.

A kiedy znowu na ziemi w blasku słonecznych promieni zjawi się wiosna, zimowe swoje kołderki odrzucają i kiełki wypuszczają i rosną.

Lucyna Krzemieniecka



A córeczka króla z perełek ma stroik i jak ranna rosa pośród kwiatków stoi. Pomiędzy kwiatkami krząta się król stary i namawia dzieci, by stawały w pary.

Bo już się skrzypeczki ozwały spod ściany. Bum cyk, bum cyk, czas już, by rozpocząć tany.

Tańczą. Irys z różą, z bratkiem konwalijką, z żółtym słonecznikiem bieluchną lilijką.

Gdy tak trwa kwiatkowa zabawa wesoła, nasza chryzantemka myk na środek koła. Listkami wiewnęła, czuprynką zalsniła, aż koło stanęło, wszystkich zadziwiła. Dziwują się maczki, dziwują różyczki, że ta chryzantemka, tak jakby z doniczki.

Stary król córeczce szepnął też do uszka: „Wiesz, ta chryzantemka, to zaklęta wróżka. Idę z tobą w zakład o trzy ciastka z pianką, że nie jest to zwykłe kwiatkowe przebranko“. Gdy tak król rozmawia ze swoją córuchną, chryzantemka tańczy lekuchno, lekuchno. I tak wdzięcznie płąsa, tak główeczkę chyli, jakby się uczyła tańca od motyli.

Król do chryzantemki rzecze żartobliwie: „Takeś się przebrała, że aż sam się dziwię. Gdybyś w moim zamku chciała dłużej zostać, mogłabyś od króla piękny wazon dostać. Wazon szczerozłoty, strojny w ametysty, przesłizanej roboty starego artysty“.

Rzecz chryzantemka: „Dzięki, królu panie, mała chryzantemka w zamku nie zostanie“. Dygnęła królowi, jakby wietrzyk dmuchnął i z bogatej sali wybiegła lekuchno. Jak motyl sfrunęła przez złoczone schodki. Dokąd, jak myślicie? Do Kwiatkówny, ciotki.

A ciotka Kwiatkówna wzięła w ką i płacze: „Już takiego kwiatka w życiu nie zobaczę. Ta złota czuprynka, te czerwone błyski, marzyłam ja o tym, chyba od kołyski“.



— A ja zrobiłam! — krzyknęła Hanka, — gdy już chłopcom zbrakło cierpliwości i orzekli, że kasztanowy człowieczek może tylko leżeć albo siedzieć.

— Patrzcie jaki mój zgrabny! — krzyczała Hanka i postawiła na stole swojego człowieczka. Śliczny był. Miał nie tylko kapelusz z piórkiem (z zapalki) na głowie ale nawet i laskę i buty. Te buty Hanka zrobiła z miąższu kasztanowego. Nie były bardzo zgrabne, ale człowieczek przynajmniej nie przewracał się i stał na swoich kasztanowych nogach jeszcze silniej niż koń. Patrzył na wszystkich czarnymi oczkami z główek zapalczanych, miał czarny zapalczany nos i nawet guziki były też z zapalek.

A wtedy taki zapal ich ogarnął, że zaczęli wymyślać coraz to inne zabawki. Więc Wacek z pustych kasztanowych lupinek zrobił wózek na dwóch kółkach, kółka były z kartonowych krążków przymocowanych do wózka za pomocą cienkiego drucika a dyszel naturalnie z zapalki. Można było nawet do tego wózka zaprząć konika, tylko człowieczek nie mógł się w nim zmieścić i ciągle wypadał na stół.

Wózek nasunął myśl, że z lupinek też można coś zrobić. Na przykład koszyczek, albo wagę. Z wagą już było więcej roboty. Ciągłe jedna szalka wisiała niżej a druga wyżej, chociaż znaleźli dokładnie środek. Strasznie długo męczyli się nad tą wagą aż się Staszek roześmiał.

— Głuptasy, przecież jedna skrupa jest większa a druga mniejsza i nie więc dziwnego, że cała waga krzywa.

— Więc jak ją zrobić?

Ale Staszek nagle popatrzył na zegarek.

— Ojej, jak późno. Muszę iść na zebranie. Pomyślcie sami, a wieczorem powiecie mi.

I wybiegł, w pośpiechu nakładając palto.

Podobają się Wam te zabawki? A może sami potraficie robić ładniejsze? I może ktoś z was wpadnie na pomysł jak zrobić tę wagę?

Aleksander Jurkowski



Nagle stuk, puk do drzwi. Ciotka drzwi otwiera. Była to uciecha, była radość szczerą.

— Mojaż ty ślicznotko, mój zło ty kwiatuszku. Wróciłaś do ciotki, będziesz stać w dzbanuszku.

Łap — cap chryzantemkę wstawiła do dzbanka, a ta wnet zaczęła swe opowiadanko. O kwiatkowym balu, o zamku na górze, o sędziwym królu i o jego córce. O dzbanie ze złotą, zdobnym w ametysty, robionym rękami starego artysty. Zapytała ciotka uśmiechnięta słodko: „A czemuś ty kwiatku wolał zostać z ciotką?“

KONIEC

Wyszedł lisek z rudą kitką:
— Już listopad! Oj, jak brzydko!
Włóczy kitkę po ściernisku.
— Ziąb na dworze. Zima blisko!

Chodzi lisek po gaiku,
pada liści z drzew bez liku.
Napadało ich niemało,
aż się pusto w górze stało.

Wiewióreczka ruda skacze:
— Panie lisku, czy pan płacze?
Wzdycha lisek: — Ach, sąsiadko,
opłakuję miłe latko.

Było ciepło, było ładnie,
teraz zginąć nam wypadnie.
Bo ja rudy i ty ruda,
czy też nam się wyżyć uda?



Odpowiada mu wiewiórka:
— Mam zapasy po komórkach.
Na to mamy teraz jesień,
by orzeszki zbierać w lesie.

Rób to samo, miły lisku,
szykuj się na zimowisko.
Zbieraj też orzeszki, szyszki —
starczy przecie dla nas wszystkich!

Krzyknął lisek: — Też mi rada!
Ja nie zwykłem z postem jadać,
mnie zajaczki młode pachną!
Skoczył, rudą kitką machnął
i tup, tup po żółtych listkach
poszedł szukać legowiska.

Kącik rozrywkowy

ZAGADKI

1. Czasem siwy, czasem kary,
wozi ludzi i ciężary.
Wozi zimą, wozi latem,
nigdy go nie uderz batem.
2. Cichy, łagodny,
(podejdz doń z bliska)
ma szare futro,
długie uszyska.
Rozgniewał Janka
dziś nie na żarty;
nie chciał pracować,
bo jest uparty.
3. Chociaż wielkie i rogate,
lecz zwykle łaskawe;
dzięki nim, dziecino miła,
pijesz białą kawę.
4. Mówią, że jest brzydka,
je, młaszcząc, z korytka,
lecz z hojnej jej łaski,
jesz smaczne kielbaski.

DODAWANKI

1. Połowa cyrku + gatunek drzewa = straszliwy huragan.
2. Kości w klatce piersiowej + spółgłoska = człowiek pozbawiony środków do życia.
3. Spójnik + roślina używana na wsi na wiązki ślubne = legendarna postać diabła.
4. Kolczaste zwierzątko + samogłoska + przysłówek = smaczna jagoda.
5. Zaimek wskazujący + nazwa wschodzącego zboża = miasto w Polsce.
6. Spółgłoska + głębokie uszkodzenie ciała + spółgłoska = rodzaj broni (jest to również nazwa zagranicznego owocu i gatunku pólslachetnego kamienia).

MĘCZYGŁÓWKA

Dzieci biorą arkusiki papłern i ołówki. Na arkuszu pisze się jakiś, wspólny dla wszystkich, wyraz, np. **kuropatwa**.

Zabawa polega na tym, aby każde dziecko, samodzielnie, wypisało z wyrazu „kuropatwa“ jak największą ilość innych wyrazów, rzeczowników w pierwszym przypadku liczby pojedynczej.

Wyrazy te mogą zawierać dowolną ilość liter, składających się na wyraz „kuropatwa“, np. Warta, wata, pora itd.

—«O»—

ROZSYPAŃKI

1. cą, czo, do, go, gąb, le, ląb, ki, ki, me, nie, ne, pie, sa.
2. by, by, ka, ka, ki, kóz, ła, ła, nie, nie, nóz, ma, ska, to, zła, że.
3. ciem, kie, ko, ku, po, re, są, sza, ty, wszyst.

Powyżej macie podane trzy grupy rozsypanych sylab. Z każdej z tych grup należy ułożyć znane przysłowie.

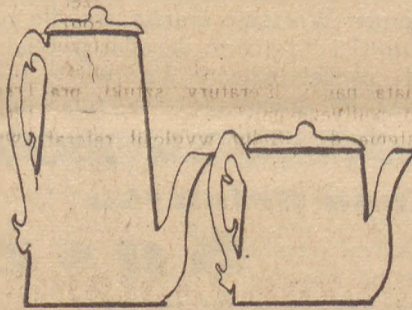
—«O»—

LAMIGŁÓWKA

1	już	po	je	sza
	gi	ne	się	czę
	roz	ły	ru	sien

Ruchem konika szachowego należy odczytać rozwiązanie, rozpoczynając od kratki, oznaczonej cyfrą 1. Ruch konika szachowego: dwie kratki w bok, jedna w górę, lub w dół, albo: dwie kratki w górę lub w dół, jedna kratka w bok.

GDZIE WEJDZIE WIĘCEJ WODY?



Oto widzicie dwa dzbanki, jeden wysoki, drugi niski. Dna mają jednakowe, dzióbki na jednakowej wysokości umieszczone i jednakowej długości. Jak wam się zdaje, do którego wejdzie więcej wody? I dlaczego?

ROZWIĄZANIA Z NR. 43 (50)

Lamigłównki:

- I. Jordan, pestka, baszta, paliwo, koniec, korzeń.
- II. I. kwadrat: brat, rama, Amor, targ;
II. kwadrat: mgła, grad, lawa, Adam.

BILETY WIZYTOWE:

Kolo, Radom, Siedlce, Łuków, Kalisz, Gdynia.

ZAGADKI:

1. Odra
2. Lis—t
3. Słoń—ce
4. Tramwaje
5. Radio
6. Owce
7. Zegar
8. Kot
9. Koza

Rozwiązanie lamigłównki obrazkowej:

ogórek, gruszka, wiśnie, jabłko, grzyb, rydz, śliwka, groch, burak, kasztan, marchew, żółędź, orzechy.

Odpowiedzi Redakcji

Sady Celina z Warszawy. Dziękujemy Ci za pamięć i życzymy powodzenia w pracy harcerskiej. Czekamy na obiecany wierszyk.

Stronk Hanna z Wawra. Twój wierszyk, Haniu, wydrukujemy prawdopodobnie za kilka tygodni w dziale specjalnie poświęconym utworom pisany przez same dzieci. Opis obozu ciekawy, ale może byś spróbowała napisać coś bardziej aktualnego, związanego z domem lub szkołą. Czy rysujesz? Jeśli nie umiesz ładnie rysować, to poproś którąś z koleżanek, niech Ci narysuje ilustracje do Twego opowiadania. Rysunki muszą być narysowane czarnym tuszem na białym kartonie. Będzie to Wasza praca zbiorowa. Pamiętajcie, że rysunki trzeba zrobić bardzo starannie. Przyślijcie rękopis i rysunki do Redakcji, W-wa, Smolna 12, dla „Świata Dzieci“.

Badurzyńska Wiesława z Warszawy. Twój list, Wiesiu, nie „pójdzie na marne“. Odpisujemy Ci, jak widzisz, prędko. Jeśli na kilka listów nie otrzymałaś odpowiedzi, to wybacz — ale dostajemy bardzo dużo listów, a miejsca w gazecie jest mało. Trzeba być cierpliwym, na każdego przyjdzie kolej. Piszesz, że żalujesz, że nie mogłaś być na zeszłorocznej zabawie, bo nie chciałaś zostawić w domu małego 3-letniego braciszka. Nie martw się, Wiesiu, Redakcja urządzi jeszcze niejedną zabawę dla dzieci i będziesz mogła w niej uczestniczyć.

Przyślij nam którąś ze swoich bajek i napisz dokładnie o swoim domu i rodzeństwie. Jakie książki lubisz czytać najbardziej? Redakcja dziękuje Ci za pozdrowienia.

Marianowi Walczyńskiemu z Radomska. Prosimy o długi list po powrocie z podróży. Chyba jesteś szczęśliwy, że będziesz miał sposobność zobaczyć taki kawał świata. Oddaj pozdrowienia Twoim kolegom Marianowi i Staszce. Sądząc z Twego listu, są to dzielni chłopcy.